№ 22.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1843. Poznań, dnia 25. Października.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

W Anglii jest prawo za męczenie i niepotrzebne zadawanie cierpień zwierzętom. U nas nietak prędko może przyjść do podobnego prawa, bo trzebaby naprzód nad tém dobrze pomyśleć, żeby postawić zaporę męczeniu człowieka od człowieka. Uderzające jednakże niezmiernie jest męczenie ludzi i zwierząt razem, które się dzieje w krajach polskich, a mianowicie po większych miastach, jak Warszawie, Krakowie i t. d., a nawet w Poznaniu. Do męczenia tego są zwykle przyjemne, miłe i wesołe zabawy karnawałowe powodem. Od godziny dziewiątéj zajaśnieją okna jakiego pałacu brylantowém światłem z pająków, brzmi ulica odgłosem muzyki, słychać tańce. Na ulicy wali się śnieg, albo zmrożony piszczy pod nogami przechodzących, gwiazdy w jego kryształkach się promienią, od zimna wróble spadają z dachu, a biedny stangret uwija się przed końmi, wyjmuje ręce ze zawieszonych na szyi rękawic, tłucze się niemi po ramionach, bije naprzemian palcami nogi o pięty. Niepodobna mówić, żeby naród nasz był złego serca, nielitościwy, ale to wszystko pochodzi tylko z braku rozwagi, z lekkomyślności. Gdyby przyszła większéj części myśl przynajmniéj o pojeździe, niewątpliwie bal przędzéjby się ukończył. Jest to dziwna rzecz, że nałóg, choć najszkaradniejszy, ale z pokolenia do pokolenia przenoszony, nawet ludzi najlepszych potrafi utrzymać przy sobie, i prawie robi niejako występnymi, że ani o tém wiedzą. Surowość i srogość pana względem poddanych, oficera względem żołnierzy, była zwykle tak obojętnym przymiotem, ale podobno nietylko w Polsce, lecz w całéj Europie, że o niéj ani nikt nie wiedział. Można było człowieka wiejskiego lub żołnierza w szeregu zabijać, a przecież być przytém dobrym bratem, małżonkiem, ojcem, obywatelem, a nawet najpobożniejszym, zgoła poczciwym człowiekiem. Dziś nadszedł już czas, że się stare wali i może bardziéj w życiu domowém, niż w publiczném; na wszystko stare przywykli ludzie patrzeć z pewną podejrzliwością, czy téż to dobre. My niewdajemy się tu w rozprawy, co powinno mieć pierwszeństwo: czy stare, czy nowe; ale to wiemy, że dziś u nas, choć złe jeszcze czasy dla koni, zawsze lepsze, aniżeli przed stu laty były dla chłopa i żołnierza w całéj niemal Europie.

PRZECZUCIE.

Gawęda o szaréj godzinie.

(Dokończenie.)

Wszystkie te wypadki czy dla tego, że tak szybko po sobie następowały, czy téż, iż umysł mój odurzony i słaby nie mógł wybijać wrażeń na sobie, dosyć iż teraz nawet, kiedy w myśli przebiegam ten ustęp życia mego, zaledwie mogę wystawić sobie, iż to było na jawie. Żal, miłość, tęsknota, wszystkie uczucia zamieniły się w jakąś nieopisaną tajemną trwogę. Zaniedbałem wszystkie lekcye, straciłem ochotę do wszystkiego, a nie życząc sobie wyraźnie śmierci, nie dbałem, iż wkrótce żebrać lub z głodu umrzeć będę musiał. Tułałem się po ulicach wzdychając, aby cud jaki wyrwał mię z Warszawy, bo i do porzucenia jéj sam nie miałem dość siły. Bóg zesłał mi Ludwika. Wyjeżdżał tu na Uniwersytet i wyciągnął mię ze sobą.

Jak tu od pół roku żyjemy, wiecie. Już zaczynałem myśleć, iż zwalczę przekorę losu i ze zmianą miejsca zmienię swój świat wewnętrzny. Swobodniejszy co dzień modliłem się tylko, aby szlachetnemu Ludwikowi Bóg moje nieszczęścia nagrodził. On pierwszy z ludzi, co mię zrozumiał i podał rękę jak bratu. Ale to na próżno — inne moje przeznaczenie — bo zważcież sobie (mówił prawie ze łzami) dziś rano widziałem znowu tego żebraka. Już za długo byłem spokojny, znowu mi grozi jakieś nieszczęście — widzę teraz iż albo szatan za życia mię dręczy — albo ja już rozum straciłem!

Podobieństwo przypadkowe, ślepy traf, dzieciństwo, rozdrażniona imaginacya, zgoła wszystkie w podobnych razach używane perswazye, były na placu, — nic go jednak przekonać nie mogło. Każdy wyczerpywał swój dowcip, aby zwrócić rozmowy i obudzić go z obawy. Na pozór tylko uspokoił się, a przykro nam było patrzeć, widząc w nim wewnętrzną walkę przykréj trwogi przeczucia.

Na drugi dzień, był to czas pocztowy i rano już przed kantorem mnóstwo zebranych kolegów oczekiwało na listy. Kto nigdy nie był oddalony od miejsc rodzinnych, od krewnych, od przyjaciół, kto nigdy nie wlókł nudnych długich chwil w obcéj stronie, ten nie pojmie, jak czarodziejski wpływ wywiera ta wiadomość „masz list na poczcie" — gdy się ujrzy na kopercie znaném pismem swoje nazwisko, każda martwa litera wtedy nabiera życia i znajomą fizyognomią przyjacielsko pozdrawia. Wtedy najzimniejszy przenosi się na chwilę do stron rodzinnych, dla tego z takiém upragnieniem oczekują pożądanych wiadomości.

Melchior towarzyszył Ludwikowi, nie spodziewał się listu, bo i któżby do niego pisał, ale dla rozrywki; potrzebował towarzystwa, obawiał się sam pozostać. Wreszcie poczta nadeszła, a wkrótce i listy rozdano, między innemi i Ludwikowi. Skwapliwie rozerwał pieczątkę, i przebiegł pismo z wyrazem podziwu i wewnętrznego najwyższego wzruszenia — podał je przyjacielowi do czytania. Zmiana ich twarzy, ironiczny uśmiech Ludwika, obłąkane oczy Melchiora, każdego uwagę zwróciły; — zbliżyliśmy się wszyscy do nich.

Ojciec Ludwika, człowiek w wieku, poczciwy, surowy, lecz jedynie domowém gospodarstwem zajęty, niezbyt się znał na owéj delikatności, która choćby czasem przesadzona, może być połączona z zupełną szczerością, a jednak przez szanowanie różnych względów, które przed pospolitych ludzi tłumem są niewidzialne, wielu przykrościom, często nieszczęściom zapobiega. — Ojciec Ludwika rządził się tém przysłowiem: „co na sercu, to na języku." Teraz pisał wprost bez ogródki z największemi wyrzutami do syna. Przytaczał mu kilka lekkomyślnych postępków jego, które za zbrodnie uważał — wyrzucał zbyt hojne życie, groził niełaską, wydziedziczeniem, gdyby niebyło poprawy. Na końcu w małym dopisku kazał mu być wdzięcznym panu Melchiorowi, iż ostrzegając rodziców swego przyjaciela listownie, ochroni go od pewnéj zguby — i t. d. przywiązany ojciec.

Naturalnie, iż wzgarda powszechna dla donosiciela była nagrodą tak pięknego postępku. Melchior przeczytawszy list ten, głucho wyrzekł: „sprawdziło się przeczucie" i dziwacznie, niespokojnie spoglądał do koła. Przekonaliśmy się, iż był tylko Hipokrytą. Zerwano z nim wszystkie stosunki; ale i ta klątwa nie wiele wpływała. Okryty hańbą nie mógł jednakże długo pozostawać w tém miejscu. Jakoż wkrótce potém jednego dnia zniknął. Dowiedzieliśmy się, iż zabrawszy papiery i świadectwa piechotą wrócił do Warszawy.

— Chwała Bogu, że sobie poszedł, mówili jedni — nieszczęśliwy! wzdychali drudzy, — podły! odzywali się inni, — a w końcu wszyscy zapomnieli.

* * *

Dziś od tego czasu minęło już lat kilka. Znajomi, koledzy, przyjaciele rozprysnęli się na wszystkie strony świata każdy goniąc za swemi marami, bo i któż ich niema? Zajęci zmianami w nas samych i do koła nas na resztę mniéj się pamiętało. O wielu zatarły się wspomnienia — z innemi nadzieja zobaczenia się kiedyś zniknęła. Kiedy więc dwóch dawnych znajomych napotka się przypadkiem na drodze życia, wtedy w jednéj chwili zmartwychwstają na moment dawne lata i cała przerwa rozdziału znika tak zupełnie jakby czarodziejski obrazek wieku młodości kończył tylko kreślić swe koło w podniesionym uczuciu. I ja podobną miałem chwilę, niespodzianie spotkawszy się po latach kilku z Ludwikiem. Z młodzieńca stał się mężem, a ów wysmukły, wesoły rostrzepaniec, nabrał tuszy, spoważniał i stał się co się nazywa rządnym gospodarzem, — grunt tylko serca pozostał jednaki. Gdy wyczerpnęliśmy główniejsze zapytania i odpowiedzi, gdy pierwszy napad ciekawości zaspokoił się, nastąpiła kolej wspomnień. Zapytałem go co się stało z Melchiorem? Zasępił się nieco i rzekł

— już nie żyje — w krótkości opowiem ci jego koleje o ilem mógł wybadać s poplątanych wieści i dodatków. Czy pamiętasz, mówił mi daléj Ludwik, ostatni wypadek, przyczynę dla któréj nas Melchior porzucił — jednak on był zupełnie niewinny.

A cały ten wieczór tak mi wyraźnie stanął przed pamięcią jakby wczoraj minął.

Melchior po powrocie do Warszawy, bez znajomych, bez opieki, bez sposobu do życia, z tak dziwném usposobieniem umysłu, kapryśném zdarzeniem losu dostał prędko jakiś mały urząd przy archivum komissyi. Milczący, spokojny, cały obowiązkom oddany, od rana do wieczora siedząc nad papierami, rad, iż może jakąś pracą zaprzątnąć głowę i myśl od jednego punktu stałego, to jest od swego widma i swych przeczuć oderwać, w krótkim czasie zyskał przywiązanie i spółczucie przełożonych i współpracowników. — W témże biórze pracował oddawna ojciec jego kochanki — Basi, o któréj jeśli pamiętasz nam wspominał. Ten odnowił z nim znajomość, nie namienił o dawnych przykrościach, a odżywił przyjemnie przepędzane chwile i na nowo do domu swego zaprosił. Basia bowiem aż dotąd w dziewiczym stanie czekała małżonka z woli niebios przeznaczonego jéj. Mniemane związki któremi wtedy zagrożono. Melchiorowi czy tylko były delikatnym wybiegiem dla pozbycia go się, czy też istotnie zamierzone rozchwiały się tego nie wiem; to tylko pewna, iż on z całym zapałem odnowił dawne stosunki i stokroć namiętniéj przywiązał się do całéj rodziny. Łatwo temu wierzyć znając go. On tak potrzebował jakiego przywiązania, on co do każdéj minuty czasu ubiegłego czuł przywiązanie wspomnienia. — Panna w domu trzymana, zachodząca w lata, niezbyt od fortuny uposażona, gdy się konkurrenci nie trafiają, jest kapitałem nieprzynoszącym żadnego pożytku, a któréj jednak pilnie trzeba strzedz od złośliwości i chciwości ludzi. Musieli o tém rodzice Basi bardzo dobrze wiedzieć, bo zważywszy stateczność Melchiora, zważywszy jego urząd, mały wprawdzie ale pewny i rzeczywiste rokujący nadzieje, zważywszy skromne i pilne jego życie, pomyślili, iż się musiał poprawić, i że teraz w sam raz dobrą (w braku lepszéj) jest partyą dla ukochanéj Basi. — Koniec więc końców błogosławieństwem zapieczętowali długie i trwałe wzdychania kochanków, czyli mówiąc wyraźniéj pożenili ich.

Po ożenieniu się jego rozumieli wszyscy, iż spokojność umysłu zupełnie mu powróci, rozumieli, iż zapomni o swych przywidzeniach i będzie żył szczęśliwy. Szczęśliwy o ile nim może być człowiek chodzący po ziemi, dbający o strawność żołądka, i wzdychający do kołysania swych dzieci, a nie żyjący tam gdzieś za światem w atmosferze znajoméj tylko pijakom, i waryatom. — Melchior jednak po dokonaniu swych celów stał się jeszcze dziwaczniejszym. Dom stał się dla niego całym światem, za domem wszystko było obojętne. Dom uważał za świątynią do któréj nikogo z obcych nie wprowadzał i strzegł jak fortuny. Z bióra do domu z domu do biórа to były jedyne jego drogi, o reszcie zapomniał. Przywiązanie to jednak zamiast cieszyć familią, drażniło ją tylko, tak miało dziki charakter. Żona też nie zbyt zdawała się szczęśliwą. Nudziło jéj się. Kobiety po większéj części boją się zbyt silnego uczucia — i jedno uczucie nie wystarcza im, potrzebują koniecznie odmiany. Nie jedna zrzekła by się kochanka, gdyby jéj obok siebie zabronił kochać kwiatki, kotków, pieski. i t. d.

Jednakże Melchior chociaż tak zajęty, chociaż nie trafiły go przywidzenia, wspominał często, że niejest wolny od jakiegoś nieokreślonego uczucia bojaźni, od przewidywania, iż jeszcze nie spełniło się jego przeznaczenie — wspominał, iż jest przeznaczony na odpokutowanie za zbrodnie przodków. — Krewni i żona śmiali się, gniewali, uważali to za dziwactwo, a całe zaufanie kładli w boskiéj i czasu pomocy.

Mieszkał on na odległéj uliczce, cichéj, mało ludnéj niedaleko Nowéj drogi i końca Marszałkowskiéj ulicy. Umyślnie wybrał ustronne miejsce i nikt go odwieść nie mógł od tego. Zwykle późno jakby ukradkiem wracając z bióra wpadał do swego dworku w którym całe szczęście. Razu jednego już blisko w rok po jego ożenieniu się, jesienny wieczór był ciemny i dżdżysty, on dłużéj niż zwykle dla naglącéj roboty zabawił w biórze, z podwojonym więc pospiechem pędził do domu. W rzadkich domkach, parkanami ogrodów rozdzielonych, przez spary zamkniętych okiennic, wąskie błyszczały światełka, — z okien jego tylko domku całemi szybami słupy światła w kroplistym deszczu się łamały, padając na błotnistą ulicę. Już kilkadziesiąt tylko był kroków gdy raptownie spostrzegł, iż jakaś postać brodata wspierając się na palce zaglądała przez okno do jego mieszkania — podwoił kroku, poskoczył — i jakże okropne było jego przerażenie, kiedy na odgłos kroków idącego, odwróciła się postać i ujrzał w niéj złowrogą twarz swego widma.

Siwa broda rozczochrana, włosy wiatrem miotane, otaczały głowę z oczyma dziko zmrużonemi i ustami bez zębów okropnie śmiejącemi się starego dziada, który na ciemném tle nocy, oświecony czer-

wonym światłem ognia z poza szyb, jak prawdziwe szatańskie wyglądał zjawisko. — Téjże chwili, w okamgnieniu, śmierć ojca, śmierć brata, nieszczęścia całego życia, i więcéj niż własne bo nieszczęścia drogiéj istoty któréj krzyk wyraźny, przenikliwy dał się teraz słyszeć z jego domku, wszystko to w chwili co

„jak piorun straszna
„a jak wieczność długa

odezwało się w duszy jego.

Widmo sunęło się w cieniu; Melchior ze zmięszanemi wyobrażeniami nie biegł do domu ale wysileniem rozpaczy miotany leciał za starym. Leciał przez ciemne uliczki, — a przed nim ziemi się prawie nie dotykając z rospuszczonemi połami płaszcza jak na skrzydłach unosił się duch dręczyciel. Jak w okropnym śnie ostatka sił dobywał, a zdawało mu się, iż władać nogami nie może. Z uliczki na uliczkę, z drogi na drogę między drzewami, przez rowy i kawały pola wpadł przez bramę na jakiś plac i upadł bez zmysłów.

Chłód nocy i wiatr i deszcz rzęsisty orzeźwiły go. Przez ten czas wypogodziło się niebo i on ocknął się. Na ciemném niebie jasny księżyć bujał śród śrebrnych spienionych chmur i blade jego światło dość blasku rzucało aby mógł poznać gdzie jest.

Do koła krzyże, pomniki i mogiły — świeżo wykopane doły, — a wysokie nagrobki i krzaki rzucały cienie jak duchy strażnicze pilnujące zmarłych spoczynku. Gdzie niegdzie światełka na brązach lub ozdobach pomników jasniéj jak źrenice niewidzialnych duchów patrzyły na niego. — Wyobrażenia i przypomnienia, jedno za drugiem przychodziły powoli, poznał, iż leży na smętarzu. — Wstał — zimno we wszystkich żyłach jego i wszystkich kościach krążyło. Błąkał się, zawadzał i upadał po grobach i drugi raz zemdlał. I znów go wschodzące słońce, i czasem krakanie wrony wędrownéj obudziło; ale do koła pusto i cicho, tylko z miasta słyszał głos dzwonów głoszących zgon jednego chrześcianina. Całą więc noc przebył na Śto - Krzyskim smętarzu. Gdy do domu powrócił zastał wielu ludzi, i familią żony i rodziców jéj zebranych. I żonę został bez przytomności, lada chwila spodziewano się jéj zgonu. — — Zrywała się, pokazywała rękę z obłąkanym wzrokiem na okno i tuliła do pościeli, z płaczem i jękiem błagając o ratunek — obronę przed szatanem dręczycielem jéj męża. Jak to boli patrzeć na cierpienie drogiéj sercu istoty, patrzeć i nie módz ulżyć ni cząstki męczarni, którąby się całą chętnie przyjęło, by oswobodzić od udręczenia — widzieć bliski moment rozstania na wieki i niemódz go przedłużyć — piekielne to katusze. — — Lecz Melchior ich nie czuł. Założył ręce na piersi, groźno spojrzał po otaczających, sine ściśnięte miał usta, a zimny wzrok wlepił w konającą, nieruchomy śledził ostatniego jéj poruszenia. Przy końcu gdy umierającéj włożono w dłoń gromnicę, i ciche modlitwy klęczących, i cichsze łzy tylko dokoła milczenie przerywały, on głośno i obojętnie wyrzekł: „już skonała.“

Dziwiono się jéj nagłéj śmierci, bez choroby. Była przy nadziei; kobiety w podobnych epokach bardzo są draźliwe, Bóg wie, co mogło być przyczyną jéj zgonu.

Cierpienia duszy, ratują ciało często od choroby, lecz tylko w ludziach w których te dwie dzielnice zbyt odrębnemi od siebie idą drogami. Niektórzy waryaci dla tego w bardzo dobrym są zdrowiu. — Melchior téż podobnie, tak gwałtowne ciosy dobrze wytrzymał i nie chorował. Chociaż krewni zajęli się pogrzebem, on koniecznie na smętarzu Śto-Krzyskim na którym rzadko już kto dla wilgoci był grzebany, kazał ją pochować. Uporu w tym względzie nikt nie mógł przełamać.

Ludzie gdy widzą kogo, iż nie lubi grać w karty, choćby nawet w Wistha, iż na ich czczych wieczorach i zabawach, choćby nawet na tańcujących herbatach, i na balecie nudzi się, na takiego mówią, iż wielki dziwak; na Melchiora mówili sobie do ucha, pokazując go palcem z boku: „nieszczęśliwy to człowiek, cierpi obłąkanie.“

I w istocie od owego czasu był to już człowiek zgubiony.

Nie wiele jednak na pozór zmienił swych zwyczajów. Chodził jak zwykle machinalnie do bióra, i siadał na zwykłem miejscu. Powierzoną sobie robotę jak dawniej pilnie odrabiał, a całą różnicą było, iż niesłyszano go, aby jeden obcy wyraz nienależący do obowiązku wymówił. Uważano téż, iż zapomniał poznawać osób i z nikim nie witał się, z nikim nie żegnał. Wzrokiem w ziemię wlepionym unikał wszystkich i jego téż unikano. Do zmienionych jego zwyczajów należało i to, iż wcześniéj niż zwykle wychodził wieczorem z bióra, i szedł przepędzić szarą godzinę na Śto-Krzyskim smętarzu. Jest wielu ludzi, którzy go tam na szerokim kamieniu, przykrywającym grób żony widzieli. Wyśledziła go ciekawość ludzi, przed którą i łez nawet ukryć nie można, aby ich nie sprofanowało śledcze spojrzenie, i aby ich wreszcie znudzeni długą pamięcią nieszczęść, śmiechem nie zapłacili. — Ztąd téż wiadomo, iż skoro tylko przestępował próg smętarza, jakby inna dusza wstępowała

go ożywiać. Z uśmiechem na ustach podnosił wypogodzone czoło i wesół żwawo spieszył między mogiły, ku końcowi na grób żony. Tam siadał, śpiewał, rozmawiał jakby otoczony licznym gronem przyjaciół. Dziko to musiało wyglądać, gdy często, kiedy pogoda sprzyjała, dobywał i roskładał na grobowcu pamiątki: suche kwiatki, kawałki wstążeczek, kartki ze stambuchów, — i nie raz dobył z kieszeni butelkę wina, nalewał w szklankę, pił do niewidzialnych biesiadników, i przed pomiętemi kartkami, stawiał ją po kolei jakby zachęcając do uczty. Tak, radośnie przepędzał kilka chwil na rozmowie, której tylko jedna połowa słyszana, lecz niezrozumiana być mogła. On widział i słyszał swych gości. Za zbliżającym się wieczorem, żegnał się, zbierał swe pamiątki i gdy przestąpił próg smętarza wracając do miasta, oczy blask, czoło wesołość traciły, jakby duszę swą między umarłymi zostawiał, ciało do żywych unosił.

Tak przeżył rok. Następnéj jesieni zbliżała się rocznica śmierci jego żony. Krewni niechcąc bólu odnawiać, niewspominali o śmierci, chcąc samotnie odbyć nabożeństwo. Ale Melchior nie zapomniał. Zawczasu przygotowywał się; sprawił sobie żałobę, któréj dotąd nie nosił i wcześniéj niż zwykle, wystrojony, z pękiem świeżych kwiatów poszedł na smętarz. Długo się modlił, długo czule a potém wesoło rozmawiał, miał i pęk szkolnych zeszytów brata swojego, te przeglądał, dawał uwagi, miał mnóstwo listów starych, te czytał, bawił się z swemi niewidzialnemi gośćmi, chodził do innych nagrobków, czytał napisy i znów się odzywał i tak późny go wieczór zeszedł. Ślicznie ognisty księżyc w pełni toczył się do góry, on z błyszczącemi od radośnych łez oczyma trzymał wlepione w niego oczy, cisza była prawdziwie grobowa, kiedy nagle z za niskiego krzaku bliskiego pomnika, jakby z ziemy wyrosła, wysunęła się ciemna postać, z szelestem i ze śmiechem szyderczym, co jak zimny nóż przebiły słuch jego. Spojrzał i cała radość, cała tkliwość i upojenie go odbiegło. Ta postać był to prześladowczy duch jego, ów stary przed-goniec nieszczęścia.

Księżyc jasno okropną twarz starca oświecił; ujrzał żywo, oko w oko, widno, o dwa kroki od siebie te rysy, co we śnie nawet trwogą go przejmowały. Stary śmiejąc się mówił chrapliwie: — Ha! więc mam cię nareście — już teraz do mnie należysz — — nie bój się — nie upiór, ale człowiek jestem; i zimną kościstą dłoń położył na głowie Melchiora jak lew na ofierze swojéj, i znów śmiał się przeraźliwie.

— Pamiętasz śmierć ojca twego? to ja go zabiłem! — oho! ty dobrą masz pamięć, ale rozum nie tęgi — taka łatwa zagadka i nie rozwiązałeś jéj. Ja ci ją teraz wytłumaczę. O! bo znudziłeś mię. Myślałem, żeś bardzo nieszczęśliwy, że nie masz spokojnéj minuty, a ty co dzień przez godzinę tu jesteś bardzo szczęśliwy — o! bo ja cię tu już dawno śledzę. Nie! tak dłużéj być nie może; nudzi mię to, ja stary, może co chwila umrę, a nie leżałbym w grobie spokojny, gdybym wiedział, że co dzień jednę minutę masz szczęśliwą. — Muszę cię dziś zabić! Co mi tam, niebo czy piekło, jak się zemszczę, wszędzie będzie dobrze. Tak, dobrze będzie. — Twój ojciec mego kazał zabić, ja twego zabiłem i ciebie zabiję. Co ja temu winien, że masz tak twarde życie jak gadzina? to już taki wasz ród przeklęty; innyby na twém miejscu sto razy zdechł. Szkoda, że nie masz syna, bobym i temu nie darował. — — O! bo ja wiele cierpiałem — wiesz! ja dla ciebie i pisać się nauczyłem.... Przez tyle lat jak cień nie odstępowałem cię, każdy twój ślad moja noga zacierała — ja chciałem, żebyś ty twarz moją we krwi twéj, we śnie twym, co krok wszędzie i zawsze napotykał.... Twoja żona była przy nadziei: ja chciałem, aby i dziecko twoje przywitało cię tą moją twarzą. — O! bo ja pięknie wyglądam; co? nieprawda? przypatrz mi się — i okropnie swe krwiste dziąsła wyszczerzył — Melchior był nieruchomy. — Chciałem ją przestraszyć tylko, ale się nie udało; twoja żonka umarła. Bo też głupi ze mnie dziad, choć stary; zapomniałem, iż kto mnie się przelęknie, musi na tamten świat maszerować. Braciszkowi twemu raz tylko w oczy spojrzałem i raz dałem kijem w głowę i zaraz poszedł do djabła — tylko ty twarde stworzenie — ale pamięć masz dobrą — jak tyś mnie pamiętał, choć tylko przy błysku prochu z panewki za oknem zobaczył, a potém starego poznał w tyle lat!... Do djabła, to dobra pamięć. Ale pisma mego to nieznasz, bo i listów, kto pisał o tobie, nie domyśliłeś się — — ha! ha! — i do ojca pana Ludwika i do twéj Basi! o ja dużo listów pisał. — No! cóż tak oczy wywracasz jak twój nieboszczyk ojciec dobrodziéj kiedy konał, — no pożegnaj się jeszcze z temi kamieniami, bo już czas na tamten świat, a droga długa — ale jéj razem nie przebieżemy, — ja pójdę do piekła, a ty idź do milion djabłów, do nieba, bo i na tamtym świecie niechciałbym razem z tobą być.

Już też miara była pełną, Melchior wyprostował się, podniósł ręce w górę stężałe jak dwa młoty i z okropnym jak hyeny rykiem rzucił się na starca. Ale ten zwinny uchylił się, odskoczywszy na bok ze

śmiechem, schwycił go w pół, i tu zaczęła się straszna walka na grobowcu, jękiem tylko, zgrzytaniem i uderzaniem głów o marmur przerywana. Dziad wpoił palce w gardło młodego, Melchior zębami się jeszcze bronił; tarzając się tworzyli jakby jedno ciało, jeden potwór konwulsyami miotany. Wreszcie chrapanie ustało — był to koniec walki. Stary wydobył się z objęć Melchiora, kamieniem głowę jego rozbił, a potém głucho i wściekle dyszącym głosem zawołał:

— Oby was wszystkich przy zgonie sumienie tak zamordowało! — Bodaj dusza twa przez wieki takie męki cierpiała, jak ty na ziemi! — A teraz, ojcze mój, uraduj się — przebaczysz — bo ta sama ręka, co cię biła, zemściła się — i szatan lepiéj nie potrafi.

Księżyc okryty czarnemi chmurami w ciemności pogrążył ziemię — i starzec znikł w tumanach nocy....

J. B. D.

Kobieta i Rozsądek.

(Ciąg dalszy.)

U wszystkich narodów mądrość i uczoność pojętémi były w żeńskim rodzaju, jak to języki oczywiście dowodzą. Stało się to w głębokiém pojęciu rzeczy, że przeznaczeniem jest owych duchowości być żonami rozumów męskich. Nie dziw zatém, że gdy od wieków uczoność i mądrość najściśléj połączyły się z płcią męską, i małżeństwo takie uważano za godziwe, — od wieków odpychały się z płcią niewieścią, a gdzie się połączyły przez gwałt lub uwidzenie, tam je okrzyczano i obrzucono blasfemią, jako nienaturalne małżeństwo między dwoma kobietami. — Lud nawet prosty, co nie zasłyszał o uczoności, ale ma jakie takie wyobrażenie o mądrości, tak tą nienaturalnością podobnego związku mądrości z kobietą był przejęty, że w jego rozumieniu kobieta mądra jest ta, która z biesem trzyma — czyli że mądrość chyba nadprzyrodzonym sposobem połączyła się z niewiastą.

Cale inne jest połączenie rozumu i rozsądku z kobietą. Są to własności ducha rodzaju męskiego, przeznaczone na mężów duchowości niewieściéj. Są one oraz przyrodzonémi przymiotami mężczyzn, dla tego im także właściwe; ze żebra Adamowego przeszły w Ewę, i następnie w cały ród długowłosy, wymagające tylko uprawy i ukształcenia. Od razu więc dwupłciowe przeciwieństwa, jak dwie przeciwne elektryczności, porywają się w objęcia i jednoczą, i nic nie brzmi tak właściwie, tak poważnie, tak czcigodnie, jak kobieta rozumna, kobieta rozsądna. Do tego więc tytułu kobiety prawa nabywać powinny, aby się stały w oczach świata szanowne; do tego gdy dążyć będą chlubnego nabytku, z którym im tak do twarzy, każdy im to pochwali, i rękę pomocy chętnie poda.

Cóż więc jest rozumem, co rozsądkiem u kobiety? — najpierwszą i najwydatniejszą tego cechą będzie, gdy w całém znaczeniu pojmie się kobietą, i uzacni w sobie to, co w niéj jest kobiecego; gdy jako kobieta znać będzie obowiązki i stanowisko swoje, ukształci je i uszlachetni, i będzie tém w towarzystwie, do czego ją samo przyrodzenie powołało.

Rzecz bardzo blisko leżąca, i zbyt łatwa do pojęcia, że różność płci różny musi mieć zakres działania, i dla tego różne już od natury usposobienie. Nierozumem więc i nierozsądkiem jest z zaniedbaniem własnego zakresu, sięgać kobiecie w męski działań zakres, z zatarciem kobiecych usposobień, szukać i kształcić w sobie usposobienia męskie. Zapewne, że wola człowieka wszystkiego dokaże, i są potężne wole kobiece, wykobiecające się dla dopięcia męskiego stanowiska.

Nie przeto jednak wszystko jest dobre, czego człowiek żelazną wolą dopina. Wola wtenczas jest rozsądna, gdy cel jest rozsądny; a cel jest rozsądny, gdy ugruntowany na prawdzie, ma oraz cechę dobra publicznego. Inaczéj wola będzie uporem, kaprysem, przesądem, czyli będzie wola nierozsądna. Czegoż więc dopina kobieta uczona? — Oto, nie odebrawszy stosownego wychowania na kobietę uczoną, nie posiadająca z natury zdolności dość silnych ku temu, stała się naczyniem nie dziwnego nabożeństwa, jak litania głosi, ale naczyniem różnorodnych żywiołów męskich; pomięszanych wyobrażeń, i dziwnego bezbożeństwa. Możnaż to nazwać dobrem publicznem, możnaż temu dać za podstawę prawdę? — Odpowiedź sama się podaje.

W Niemczech widujemy owczarzy i skotarzy zbywających czas na robieniu pończochy, gdy chodzą za trzodą. Nic to dziwnego, że się tego mężczyzna nauczyć może, i że go usadzić można do igliczek i za kądzielą; ale nie idzie zatém, aby to było właściwe dla niego zatrudnienie, i każdyby przeszedł wedle wsi takiéj, jak wedle mieszkań waryatów, gdzieby kobiety orały i młóciły, a parobcy tymczasem snukali lub robili pończoszkę. Taką niewłaściwością są krawcowie damscy po Niemczech, i po części u nas, czego niema w żadnym innym narodzie. Wspólność zatrudnień dla płci obojéj byłaby taką anarchią w świecie społe-

cznym, jakąby była w świecie moralnym, wspólność żon i mężów. Jeżeli się brzydzimy ostatniém, nie możemy żądać pierwszego; bo jedno jest drugiego koniecznėm następstwem.

Plato w swojéj rzeczypospolitéj, wychodząc z zasad czysto idealnych, z odrzuceniem praktyki życia, popadł w ten błąd, i zaprowadził równość wychowania i zatrudnień tak dla niewiast, jak i dla mężczyzn, a i w konsekwencyi musiał oraz zaprowadzić i bronić wspólności kobiet. Aby dać miarę takiéj utopii, przytaczamy, co na dowód mędrzec ów grecki przytacza: „psy strzegą trzody, a niewolnicy miasta: a nikt tu nie pyta, czy samiec, czy samica" — chciał przez to powiedzieć, że jak u zwierząt, tak u ludzi, płeć, jako taka nie uzdalnia ani nie przeszkadza do zatrudnień powszednich. Ale kiedy Plato dziękował Bogom, że się mężczyzną nie kobietą urodził, był wyraźnie z sobą w kontradykcyi. Były to już czasy, kiedy Aspazya Grekami rządziła, a Sokrates i Perykles porówno w jéj domu przebywali; kiedy Demostenes dla Fryny zapomniał o mównicy i o Filipie, Praxyteles wedle niéj Wenerę modelował, a Grecya posągi jéj stawiała, zgoła kiedy piękne Hetery nad mężami Grecyi panowały.

Ztąd téż dopiero wtenczas księgi rzeczypospolitéj Platońskiéj były w rękach wszystkich Rzymianek, kiedy już dawno przebrzmiały owe słowa Cezara: „że kobieta nietylko powinna być wstydliwą, ale nawet pozoru wstydliwości łamać jéj nie przystoi" — kiedy w śmiech puszczono rubaszność konsula Metella, co publicznie w senacie śmiał powiedzieć, że małżeństwo jest ofiarą, jaką obywatel rzeczypospolitéj przynosi, i gdyby przyrodzenie było tak postanowiło, abyśmy sami bez kobiet ludzkość rozmnażali, obyłoby się bez tak uprzykrzonych towarzyszek życia.

Z potęgą Cezarów nastały w Rzymie inne czasy. Zwolniono dawne surowe obyczaje i puszczono śluzy rozwiozłości. Agrippiny, Fulwie, Messaliny, kierowały losami wielkiego Rzymu; a Florze wszetecznicy stawiano ołtarze i na cześć bezecnéj naznaczono roczne uroczystości w całém państwie na dzień pierwszego Maja, które zwano Florealia.

Taki sam rząd kobiet powtórzył się wśród niemal równego rozprzężenia obyczajów za ostatnich Ludwików przed rewolucyą. Dość tu wspomnąć sławną du Barry, Ninon, Maintenon i inne. A i tam nawet, gdzie kobiety władzę monarszą sprawują, choć za nie ministrowie rządzą, i sława ich rządów na ich imiona, ale nie na ich czyny spada; i tam nawet wyzwolenie się z kobiecości nacechowane było oraz wyzuciem się z tego wszystkiego, co w oczach męża niewiastę szanowną czyni. Cały blask majestatu nie zdołał olśnić szkandalu miłostek gabinetowych.

Coby więc na poparcie zdania Platońskiego i na wspólność zatrudnień płci obojéj, z historyi przytoczyć można, jest albo niemoralnością albo złudzeniem, i nigdzie nie okazało się stósownėm w praktyce życia. Do zboczeń natury chybaby je przyrównać można. Pod tym względem więc, bardziéj niżeli pod wszelkim innym, musimy się trzymać zasady St. Simona: „chacun selon sa capacité; chaque capacité selon ses oeuvres", to jest chwytaj się tego, do czego masz zdolności, a poznaj te zdolności po dziełach twoich.

Rozum i rozsądek kobiety, wracając do założenia, na poznaniu kobiecości zależy. A że wszystko co jest i żyje, nie jest zupełną doskonałością, ale ma wady i błędy obok zalet i dobrych przymiotów, obie zatém strony, dodatną i ujemną kobiecości poznać jéj przystoi, aby pierwszą doskonaliła i rozmnażała, drugą ukracała ile to być może.

Zacznijmy od strony ujemnéj. — Cesarz Franciszek I. stojąc raz przy oknie, sygnetem brylantowym kreślił coś po szybie. Ciekawość to była wielka na salonie, damy szczególniéj doczekać nie mogły, rychłoby się ku oknu zbliżyć można, na którém cesarską ręką tajemnicy pełne wyryte zostały wyrazy. Jedna po drugiéj przemkła się tą stroną, a za damami i mężczyzni, ale tylko ci ostatni poszeptywali z uśmiechem na ustach, co cesarz napisał „chaque femme varie." Musiał Franciszek I. ugodzić w sam przymiot kobiecości, bo się o to długo damy dworu i stolicy gniewały i wkrótce jakoś z umysłu czy z przypadku szyba ta wyrocznia stłuczoną została. — Zstąpmy od powagi cesarskiéj do błazeńskiéj. Sancho-Panza w romansie Cerwantesa powiada dowcipnie: że między kobiecém t a k i n i e zaledwie koniec igły zmieścić się może.

Otóż oparci na téj powadze i w koronie i w dzwonkach sądzimy i my, że niestałość, zmienność zdania i charakteru są pierwszą ujemną stroną kobiety, wbrew rozsądkowi przeciwną, który na zasadach pewnych buduje, a jeżeli zdanie zmienia, to je zmienia na lepsze, idąc za poradą mędrca: „consilium in melius mutare sapientis est", czyli nie upieraj się w błędzie, ale popraw go, gdyś się na nim poznał. Nie ta więc zmienność, ktora jest poprawą błędu, ale ta jest naganna, która jest skutkiem lekkomyślności i braku podstawy. Podstawę daje myśl skierowana do poważnych rzeczy, daje wychowanie gruntowne, jasne widzenie prawdy i uczciwości, i silne zamiłowanie obojga.

Na téj więc podstawie stanąć kobiecie należy, aby w ogóle rościć mogła prawa do rozsądku. A jeżeliby nie dała się na stal taką charakteru uhartować wola, przynajmniéj starać się powinna, aby między jéj tak i nie coraz szersze dały się wtłoczyć rozmiary.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Biskupi belgijscy wydali zbiorowy okólnik naprzeciw książkom zawierającym niemoralne dążności, a między nie policzyli przedruki francuzkich romansów. Polecili zaś środek zaradczy, wydawanie i rozdawanie do czytania bezpłatnie dobrych książek. W Brukseli założono w tym celu taką czytelnię, rozdzielającą już w tym roku bezpłatnie 30,000 tomów książek.

W Bolonii chciano wystawić pomnik Rossyniemu, ale kompozytor wymówił się z téj czci bałwochwalskiéj.

MODY.

Paryż, dnia 17. Października 1843.

Dziwną byłoby to śmiałością, gdybyśmy chcieli dziś już krój płaszczy kobiecych oznaczyć; zawsze przecie płaszcze będą z rękawami, do obłóczenia, nie zaś do zarzucania na siebie.

Kapelusze nie różnią się od letnich co do kształtu.

Hafty wszędzie obrzucają, a upodobanie w nich coraz bardziéj się rozszerza.

Widzieliśmy suknię organtynową, z trzema zakładkami na powłoce, a śród nich dosyć od siebie oddalonych wstawki haftowane. Spód sukni był z różowéj tafty, i uwydatniał haft i zakładki, co bardzo pięknie wyglądało.

Ukazał się także strój głowy, nazwany wiktorya; złożony jest z tarlatanu, marabouts i pereł.

We wszystkich tkaninach wełnianych i jedwabnych cztery znachodzą się ważniejsze porządki, mianowicie jednokolorowe, najwięcéj upowszechnione, pekinowane, które lubią dla tego damy, że pasy nadają pewien urok częściom górnym ciała i zdobniejszą czynią kibić; szkockie i kwieciste, częścią tkane, częścią wrabiane. Wełna i wszystko z nią w styczności zostające, kaszemiry, gładkie lub wrabiane flanele, krepy wełniane i t. d. stosują się na powszednie ubiory, po domu, na przechadzki, jako zimowe bluzy, opończe, otwarte szlafroczki. Kaszemir, dawniéj bardzo droga tkanina, dziś powszechne miano na mnóstwo tkanin tanich, jak douglasowych, glasgowskich, stuartowych i t. d.

Śród nowszych przedmiotów gotowych ukazały się damskie palletoty i płaszcze; pewna u nich nie uwydatniła się moda.

Prawdziwy burnus algierski z wełnianéj tkaniny, zdobny wielkiemi kutasami, tu i owdzie ukazuje się. Jest on nadzwyczaj obszerny, tkanina bardzo miękka, i można się w niego bardzo dobrze otulić, bez ujęcia kształtnéj kibici.

Chętnie chcielibyśmy coś pewnego udzielić ze względu na kształt sukien, ale to jest tajemnicą najposzukiwańszych modystek. Zdaje się przecie, że wysoko zachodzące staniki à la vierge przeważać będą. Powłoka pozostanie, aż do dalszych rozkazów bardzo długa i osadzona wielkiemi falbanami. Także wiele upowszechni się koronek, a krótkie rękawy z podrękawami z białych lub czarnych koronek, małe falbany, żokeje koronkowe na pierwszeństwo zasługiwać będą przy uroczystych ubiorach. U sukien rannych, nawet u sukien przeznaczonych na wyjście, podobają się długie obszerne rękawy bez wiązadeł.

Nie jedna czytelniczka wdzięczną nam będzie za uchylenie tajemnicy, jakiéj używają damy, aby włos swój utrzymać w kształtach modnych. Wiadomo, iż wałowate pasy włosów w téj chwili najbardziéj się podobają. Sposób na to łatwy, aby zadosyć uczynić urojeniom mody; we wieczór splatają się włosy, maczają przytém i wiążą silnie. Nazajutrz rozwięzują sploty, tworzące rozdziały w najpiękniejsze linie wałowe.

Kiedy o tych tajemnicach ubiorowych gwarzemy, dodamy i to jeszcze, że chcąc mniejszą udać nogę aniżeli jest w rzeczy saméj, dobierać trzeba trzewików w kolorze sukni.

Objaśnienie ryciny.

1. Surdut watowany, o długim stanie, szerokim kołnierzu i dosyć obszernych rękawach z wyłogami.
2. Ciemnozielony frak z okrągłemi połami i szerokiemi wyłogami.
3. Surdut wierzchni, z szerokiemi wyłogami i aksamitnym kołnierzem. Kamizelka w pasy, na dwa rzędy u niéj guziki.
4. Najnowszy płaszcz atłasowy, kołnierz chusteczkowy z kutasem. Otwory do rąk oszyte tą samą tkaniną. Suknia pojedyńcza. Kapelusz aksamitny, zdobny czarną koronką i różą.
5. Biały kapelusz atłasowy, koronkami i piórami zdobny. Suknia bez osady. Mantelet aksamitny watowany, oszyty wstążką aksamitną.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*